

„Tak mi się chce z Tobą pogadać...”

Kolejny tom powojennej korespondencji Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów zawiera 131 listów z lat 1951–1955. To bardzo prywatne teksty, w których pisarz i jego żona donoszą głównie o sprawach rodzinnych, o swych zajęciach, zdrowiu, o planach, wyjazdach, trochę o przyjaciółach, trochę o lekturach, o wysłuchanych koncertach. Listy powstają w bardzo różnych miejscach. Anna pisze jeśli nie ze Stawiska, to z Rabki – zimą lub z Ustki – latem. Listy Jarosława natomiast datowane są w Stawisku i w Santiago de Chile, w Gorzekałach i Taorminie, w Rabce i Zurichu, w Szklarskiej Porębie i Berlinie, w Sandomierzu i Rzymie – takie egzotyczne zestawienia można by mnożyć.

Życie korespondentów wypełnione jest rodzinnymi wydarzeniami i codziennymi kłopotami. Jarosław podróżuje służbowo; jako przewodniczący Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju uczestniczy w sesjach Światowej Rady Pokoju, uczestniczy w zjazdach PEN Clubu i w obradach sejmowych (od sierpnia 1952 r.); pisze, tłumaczy. Na zachowanej kopercie jednego z listów żartobliwie napisał: „Do mojej żony ukochanej Anny na wsi w Stawisku pod Brwinowem, w dobrach swych dziedzicznych zamieszkującej”. Wydawałoby się, że Stawisko przetrwało

w niezmienionej formie nie tylko okupację, ale i czas powojennych przemian ustrojowych. A „dziedziczka” Anna troszczy się o funkcjonowanie majątku i domu, dba o licznych jego mieszkańców, z oddaniem zajmuje się swoimi ukochanymi wnukami, Anusią i Maćkiem Włodkami, dba o ich zdrowie i wychowanie, martwi się o ich matkę Marysię, zabiega o dobry kontakt z córką Teresą, przebywającą w Kanadzie, przeżywa narodziny kolejnych wnuków, rozkoszuje się pobytami w ukochanej Ustce. Stara się stworzyć takie warunki, aby mąż mógł realizować swoje pisarskie powołanie, które zarówno dla niej, jak i dla niego, jest sprawą najważniejszą.

Listy te niemal nie zawierają komentarzy o sytuacji politycznej w kraju i na świecie. Tymczasem okres 1949–1955 można określić mianem najbardziej ponurego w powojennej historii Polski. Po zjednoczeniu PPR i PPS w listopadzie 1948 r. nowo powstała PZPR uznała, że po tzw. łagodnej rewolucji należy przejść do ostrej walki ideologiczno-politycznej. Od 1949 roku jeszcze intensywniej niż dotąd ścigano wrogów ustroju – przeciwników nowej Polski oraz Związku Radzieckiego. Aresztowano, sądzono i surowo karano – niejednokrotnie zmuszając do składania fałszywych zeznań – osoby uznawane z góry za winne i niebezpieczne.

W listopadzie 1950 roku aresztowano generała Augusta Fieldorfa, dowódcę Kedywu Armii Krajowej. Na podstawie fałszywych zarzutów osądzono go i skazano jesienią 1952 roku na karę śmierci. O przynależność do antyradzieckiej partyzantki i faszyzm oskarżano wszystkich, nawet szeregowych żołnierzy AK; skazywano ich na wieloletnie więzienie. Latem 1951 roku toczył się w Warszawie tzw. „proces generałów” – dzie więciu wyższych oficerów Wojska Polskiego, którzy swą służbę rozpoczęli jeszcze w II RP. Wśród czterech skazanych na dożywocie znalazł się m.in. generał Stanisław Tatar; pozostałym wymierzono surowe kary więzienia. W 1952 roku skazano na śmierć generałów Józefa Kuropieskę i Franciszka Skibińskiego. Pod zarzutem organizowania w szeregach wojska spisku aresztowano w sumie 129 oficerów; wydano 91 wyroków

– 19 osób skazano na karę śmierci. Relacje prasowe z przebiegu wybranych śledztw i procesów miały budzić (i budziły) powszechny strach.

Wrogów szukano także wśród osób sprawujących władzę – w kręgach działaczy partyjnych i urzędników państwowych, szczególnie w gronie przedwojennych komunistów. W 1950 roku aresztowano Mariana Spychalskiego – architekta, po wojnie wiceministra obrony narodowej, organizatora Biura Odbudowy Stolicy, ministra odbudowy, posła na sejm. Pozbawiony immunitetu poselskiego w październiku 1951 roku został oskarżony o dążenie do obalenia przemocą ustroju państwa polskiego. W sierpniu 1951 roku aresztowany został pod zarzutem prowadzenia szkodliwej działalności frakcyjnej w partii Władysław Gomułka – niedawny sekretarz generalny PPR, autor „polskiej drogi do socjalizmu”. W śledztwie oskarżano go o zdradę i współpracę z obcymi służbami wywiadowczymi. W niełasce znalazł się Jerzy Borejsza – organizator SW „Czytelnik”, redaktor „Odrodzenia”; od sprawowania urzędu odsunęto Zygmunta Modzelewskiego – ministra spraw zagranicznych.

Politycznych przeciwników (także tych rzekomych) oskarżano o szpiegostwo na rzecz obcych państw. W prasie mnożyły się informacje o zatrzymaniach domniemanych sabotażystów, dywersantów, spekulantów. Za wrogów uważano krytykujących lub podających w wątpliwość posunięcia władz. W walkę z nimi zaangażowani byli aktywiści z podstawowych komórek PZPR i ZMP, które działały we wszystkich zakładach pracy, związkach zawodowych, szkołach i uczelniach. Osoby podejrzewane o niechęć wobec ludowego państwa zmuszano do składania publicznej samokrytyki i aktów lojalności. Nieposłusznych pozbawiano zatrudnienia lub możliwości dalszej nauki. Tak w atmosferze zastraszenia i terroru partia utrzymywała swoją hegemonię nad różnymi sferami życia publicznego. Aktem przypieczętowującym te procesy stało się uchwalenie 22 lipca 1952 roku konstytucji polskiego państwa, noszącego od tego momentu nazwę Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Śmierć Józefa Stalina (5 marca 1953 roku) nie złagodziła opresji rządów komunistycznych w Polsce. Życie społeczne i kulturalne było poddawane coraz silniejszej kontroli ideologicznej i administracyjnej. W marcu 1953 roku władze zawiesiły „Tygodnik Powszechny”; w lipcu jego redagowanie przekazano prorządowemu Stowarzyszeniu Pax. W tym czasie zlikwidowano także krakowski miesięcznik katolicki „Znak”. W czerwcu 1953 roku prymas Stefan Wyszyński ogłosił treść ostrego w tonie listu Episkopatu Polski, skierowanego do prezydenta Bieruta – w reakcji na państwowy dekret o obsadzaniu stanowisk kościelnych. We wrześniu 1953 roku osądzono i skazano biskupa kieleckiego Czesława Kaczmarka pod zarzutami dywersji, szpiegostwa i działalności na niekorzyść ZSRR. W kilka dni po tym wyroku został aresztowany prymas Polski, kardynał Wyszyński.

Iwaszkiewiczowie nie byli ślepi i głusi na to, co się wtedy wokół nich działo. Lęk, nieufność oraz poczucie wszechobecnej inwigilacji nie pozwalały jednak na otwartą wymianę myśli i przelewanie ich na papier. W listach można było pewne sprawy tylko delikatnie sugerować. Kiedy 12 lutego 1951 roku wzburzona Anna nie mogła powstrzymać się od wyrażenia opinii na temat skandalicznej decyzji o wzniesieniu pomnika Dzierżyńskiego w Warszawie – Jarosław skwitował to zaledwie kilkoma, jednak jakże znaczącymi, słowami: „Masz także kłopoty i polityczne! To, co napisałaś o wiadomym pomniku w liście twoim do mnie, jest rzeczą kompletnie niedopuszczalną i bardzo proszę, abyś się zastanawiała nad tym, co można pisać, a co nie!” (list z 17 lutego 1951).

Podczas pamiętnego IV Zjazdu Związku Zawodowego Literatów Polskich w styczniu 1949 roku okazało się, że również literatura ma być narzędziem budowy socjalizmu. Prezesem Związku został Leon Kruczkowski. Wiceprezes Iwaszkiewicz był świadom, „że na nic nie ma wpływu, bo wszystkie decyzje i tak zapadały między Kruczkowskim i Putramentem a Komitetem Centralnym PZPR, nie próbował więc nawet

walczyć o zachowanie wpływów w związku. Później, już po zjeździe, nieregularnie pojawiał się na posiedzeniach nowego zarządu głównego, które odbywały się zwykle co kilka tygodni. [...] Dość szybko jednak, jako symbol starego, ustępującego estetyzmu, stał się celem rozmaitych ataków” (M. Radziwon, *Iwaszkiewicz: pisarz po katastrofie*, Wydawnictwo WAB, 2010, s. 277–278). Rzadko w jego listach do żony pojawiają się bezpośrednie odniesienia do sytuacji pisarza, skazanego na milczenie lub tworzenie zgodnie z narzuconymi zasadami socrealizmu. Perspektywa, że pisane utwory nie będą miały szans na publikację, wyraźnie hamowała jego aktywność twórczą. Swoje prace literackie z tego okresu ocenia jako słabe: „wczoraj skończyłem ostatecznie *Odbudowę Błędomierza* – zdaje się wyszło straszne gówno, ale już nie miałem sił, a poza tym co za zadanie: napisać sztukę polityczną a bezpartyjną! Kwadratura koła, myślę, że jeszcze każą mi ją poprawiać. Zresztą rozumiem, że tak musi być, albo postawić wszystkie kropki nad i, albo usunąć te nieliczne i nieśmiałe aluzje, jakie są u mnie” (J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911–1955*, s. 307–308). W marcu 1951 roku Iwaszkiewicz uczestniczył w konferencji dramaturgów, mającej wyselekcjonować spośród sztuk nadesłanych na konkurs Ministerstwa Kultury i Sztuki utwory nadające się do wystawienia. W liście do Anny sugeruje delikatnie, że to nudny i wyczerpujący obowiązek. Nie pisze jednak, że podczas trzydniowych obrad występował częściowo jako uczestnik, a częściowo jako „podsądny” – bo *Odbudowa Błędomierza* była też poddawana ocenie i „poprawiana”. Ostatecznie wprowadził do jej tekstu zasugerowane poprawki. Sztuka pod zmienionym tytułem *W Błędomierzu* była grana latem 1951 roku w dwu teatrach: w Krakowie i we Wrocławiu – co oczywiście przyniosło jej autorowi konkretne gratyfikacje finansowe. „Dla chleba” Iwaszkiewicz napisał również *Wycieczkę do Sandomierza* – powieść dla młodzieży, przygotowaną na konkurs ogłoszony przez Komitet do Spraw Turystyki oraz ZLP. Została nagrodzona i wydana z drzeworytami Marii Hiszpańskiej

w 1953 roku. O tym, jak nisko oceniał to dzieło, świadczy fakt, że nigdy nie usiłował go ponownie wydać.

A ta prawdziwa twórczość? Podczas pobytu w Sopocie w sierpniu 1951 roku Iwaszkiewicz pisze do żony: „Wczoraj czytałem *Pogrzeb pośta* i *Borsuka* Dąbrowskiej i Kowalskiej, pod koniec przyszła Stasia H[orzykowa]. Właściwie mówiąc, to literatom nie opłaca się czytać takich rzeczy, bo oni za bardzo widzą podszewkę i krój, i nawet nici fastrygi – ale ostatecznie, skoro nie mam czytelników, to można i tak kontynuować swą działalność literacką” (list z 28 sierpnia 1951). Z kolei, w liście z 16 lipca 1952 roku, pisząc o wizycie przyjaciółki córek w Moskwie, którą nazywa „królestwem Famy”, nawiązuje do swego obrazoburczego utworu *Fama. Opowiadanie niepoważne* – ukazującego Polskę, niszczoną przez wpływy nieustannego kłamstwa i propagandy. Opowiadanie najwyraźniej było dobrze znane Annie i – jak twierdzi Radosław Romaniuk – również wielu przyjaciołom małżonków (R. Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, t. 2, „Iskry”, Warszawa 2017, s. 271–272).

O ile sam Iwaszkiewicz bardzo rzadko pozwalał sobie na pisanie poniżej własnego poziomu literackiego, o tyle potrafił zrozumieć zdesperowanych przyjaciół-pisarzy, oddających się tworzeniu czegoś, co byłoby trudne do zaakceptowania w innych okolicznościach. W sierpniu 1953 roku małżonkowie wymieniają informacje o poetyckim przebudzeniu Romana Kołonieckiego – przyjaciela obojga, mieszkańca Stawiska w czasie okupacji oraz częstego gościa w okresie powojennym. „Roman wrócił do formy literackiej i mnóstwo pisze, czytał nam po południu swoje ogromne poemacido *Powrót na Stare Miasto*, b. piękny, ale jak doszedł do Marksa i Lenina i do WKP(b), tom omal się z krzesła nie zwalił! Poemat będzie drukowany w «Przeglądzie Kulturalnym» i sądzę, że będzie wielką sensacją, strasznie się cieszę, bo sądzę, że Roman jest zbyt dużym talentem, aby leżał odłogiem bez szkody dla polskiej kultury. A to, że jak mówi Zygmunt [Mycielski], wskoczył w biegu do pociągu i to od razu

do tego wagonu, co potrzeba – to tym lepiej” (list Jarosława, 18 sierpnia 1953). Anna na to odpowiada: „szalenie cieszę się z «dźwignięcia się» Romana. Te wiersze, które mi przysłał i które czytałeś, są b. piękne i to już dowodzi, że pod tą zaschniętą skorupą jednak poeta w nim żył i żyje, ale to *Stare Miasto* to dopiero niespodzianka. Rozumiem, że wreszcie nie może do końca życia z głodu przymierać, ale takie «wskoczenie do pociągu», żeby aż cytować WKP(b), to już może nie było konieczne, bo i tak motyw odbudowy Starego Miasta bardzo *blagonadziejny* [...]” (list Anny, 22 sierpnia 1953).

W wielu listach Anny Iwazkiewiczowej można odnaleźć dowody jej stałej troski o niezmiennie kochanego męża. Prosi, by dbał o zdrowie, był ostrożny, zachował rozsądek. Ponadto pragnie by, tak jak ona, umiał w tych złych czasach znaleźć wsparcie duchowe w religii. 16 stycznia 1952 roku pisała z Rabki: „Pragnę, żebyś był u dwóch lekarzy – u ojca Ziei i u doktora, którego ci wskaże Edzio, bo mam do niego zaufanie. Twój stan duchowy i fizyczny wymagają bezwzględnie tego, żeby ktoś mądry i życzliwy się tym zajął, bo jesteś na martwym punkcie, z którego samemu bardzo trudno jest ruszyć”. Anna chciałaby nadać religijności męża taką postać, która odpowiadałaby jej wyobrażeniom o pobożności – co pozostawało wciąż niespełnione. Nie rezygnowała jednak i – znalazłszy stosowną okoliczność – zwierzała się, że pragnie, by mogli oboje zbliżyć się do siebie również w aktach wspólnego wyznawania wiary. W liście z 21 lipca 1952 roku, opisując neogotycki kościół w Ustce, stwierdza: „Jak bezcenne są te chwile tam spędzone, jak wszystko wygładza się, uspokaja, staje jasnym wobec tej ofiary i szczęścia, które ta miłość daje. Kiedyż przyjdzie ta nade wszystko na świecie upragniona chwila, że nie sama, a z tobą będę w takiej cudownej rozmowie z Bogiem”.

Wśród różnych refleksji, którymi z kolei Iwazkiewicz dzieli się w listach z żoną, jeden fragment zwraca uwagę bardziej niż inne. Pisarz rzadko w tej korespondencji zdobywał się na wyznania, zawierające tak

szczerą autoanalizę. W liście z 28 stycznia 1955 roku, pisany w Taorminie na Sycylii, odciętej wówczas od reszty świata przez *sirocco*¹, zwierzał się: „piszę w każdym razie parę słów, aby po prostu samemu czuć się mniej samotnym i mieć ten rodzaj rozmowy z tobą. Bardzo właśnie to niedobre jest u mnie, jak sama zresztą to mówisz, że się odzwyczailem od samotności. Wyraża się to nawet w tym, że stale mówię do siebie głośno, to znaczy, że nawet nie umiem sformułować myśli n i e w y p o w i e d z i a w s z y jej – istnieją dla mnie tylko słowa, nie myśli. Na tym chyba polega mój antyintelektualizm. Czytam teraz *Journal Gide’a*, cały czas przeciwstawiając się wszystkiemu, co on mówi, muszę mu jednak przyznać olbrzymią przewagę jego nade mną – ten fantastyczny intelekt. I co ważniejsze może – wiarę w słuszność tego intelektu, czego mnie zawsze brakuje. Nawet kiedy mam słuszność – nie wierzę sobie. To jest mój brak zasadniczy. I dlatego wszystko jest u mnie, że może być tak, a może być inaczej. [...] No, więc widzisz, człowiek wyjeżdża na Sycylię, aby głębiej odczuwać własne zmartwienia i własną nicość. Gide pogardzałby mną jak Słonimski, ale j a mam rację, nie oni”. W świetle ostatniego zdania tego listu wcześniejsze ubolewania Iwaszkiewicza nad brakami jego intelektu w zasadzie zostają unieważnione. Podobnie jego podziw dla kogoś przekonanego o słuszności swych rozumowań może wydawać się zbędny. W efekcie namysłów nad swoimi ułomnościami Iwaszkiewicz nie szuka współczucia i usprawiedliwień, lecz daje wyraz trudnej akceptacji samego siebie. Jego stwierdzenie – „ale ja mam rację” – poza przekornym pointowaniem niełatwych wyznań, można by nazwać aktem afirmacyjnym: potwierdzeniem zgody na kondycję własnego „ja”. Iwaszkiewicz wpisuje w te słowa aprobatę tego, co określił mianem „mój antyintelektualizm” (a czemu mieliby sprzeciwiać się, według niego, np. Gide czy Słonimski). Warto rozważyć, co kryje się w tym sformułowaniu i czego sens chciał on potwierdzić, pisząc list do swej powierniczki – żony. Chce wobec niej przyznać, że zawsze bliższe

„TAK MI SIĘ CHCE Z TOBĄ POGADAĆ...”

mu jest zmysłowe – a nie racjonalne – doznawanie świata; że własnością jego umysłowości jest otwartość na wrażenia: podążanie za zjawiskami, wzbudzającymi w nim ciekawość, czułość, zachwyt. Z napomknięcia o konieczności wypowiedzenia słowa, by mogła powstać myśl, wynika bowiem, że rozmaite twory jego intelektu – każdy ciąg rozumowania czy literacki pomysł – to rezultaty intuicyjno-zmysłowego kontaktu z materią rzeczy oraz zjawisk. Wierność sobie oznaczałaby dla niego zatem pielęgnowanie tej „antyintelektualnej” wrażliwości – nawet w cenę niepewności, odczuwanej na co dzień przez jego „ja”.

Iwaskiewicz musiał wciąż manewrować między tym, co sam uważał za ważne i niezbędne, a tym, co było mu narzucane przez funkcje, które sprawował. Z pełnym przekonaniem angażował się w światowy ruch obrońców pokoju, brał udział w zjazdach, przemawiał, starał się utrzymywać kontakt z przedstawicielami krajów zza „żelaznej kurtyny”. Musiał tworzyć – bo pisanie i publikowanie było jedynym (do sierpnia 1952 roku) źródłem utrzymania. Musiał dbać o żonę i jej potrzeby, co przez całe życie traktował jako najważniejsze zobowiązanie. Nie chciał (i nie mógł) rezygnować ze Stawiska nie dlatego, że mogło przynosić dochód (a nie przynosiło), ale dlatego, że mimo wszystkich niewygód i kosztów w dalszym ciągu było azylem, ucieczką od oficjalności, zakłamania – zapewniało chwile prywatności i swobodnej wymiany myśli, dawało schronienie innym. A na dodatek stało się symbolem ciągłości polskiej tradycji.